

Jerzy Kędzierski

A high-contrast, black and white photograph of a man in silhouette pushing a bicycle up a stone staircase. To the right of the stairs is a brick wall with a metal railing. The scene is brightly lit, creating a stark contrast between the dark figures and the light background.

**opowieść
mężczyzny
który zarabia
śpiąc**

„Opowieść mężczyzny, który zarabia, śpiąc”

© Jerzy Kędzierski 2013

wydanie drugie

ISBN 978-83-63110-09-3

redakcja, korekta:

Grażyna Jeżewska

opracowanie graficzne:

Jerzy Kędzierski, Marek Woś

skład, łamanie:

Marek Woś

grafika na okładce:

istock, Marek Woś

ROSEMARIA

Poznań 2013

Jerzy Kędzierski

opowieść
mężczyzny
który zarabia
śpiąc

WYDAWNICTWO 
ROSEMARIA 

*pielegniarkom z nocnych
dyżurów w szpitalach całego świata*

Jedziemy z Michałem do Plazy tramwajem o piętnastej, czyli ścisk na maksa. Michał opowiada o swoim bracie weterynarzu, który ma takie hobby, że od lat wszystkie obcinane paznokcie wrzuca do szklanki. Oczywiście Michał opowiada tembrem głosu dostosowanym do gabarytu tramwaju. Szklanka już w dwóch trzecich wypełniona, tłumaczy mnie i współciszącym się pasażerom. Paznokcie obcinane i włosy powinno się spalić, bo jak się tego nie zrobi, to po śmierci dusza ma przerypane, musi tułać się po świecie i zbierać paznokcie oraz włosy. Przerąbane zajęcie. Dlatego brat Michała już myśli o losach swej duszy po śmierci i od lat obcinane paznokcie wrzuca do szklanki. Podjąłem temat (ustawiwszy odpowiednio głos na masce) i zapytałem, czy brat od czasu do czasu przesypuje paznokcie do jakiegoś pudełka, gdy na przykład szklanka potrzebna, bo goście przyszli? Michał odpowiada tak, by wątku naszej rozmowy nie stracił ani motorniczy, ani młody pryszczaty, który na końcu tramwaju jedzie bez biletu. W nocnych autobusach Michał jest tym, który podaje ton do chóralnych śpiewów.

Dziś doroczne Święto Kasztana. Wspomnienie, jak kiedyś zwoływałem przyjaciół na zbieranie, rzucanie się kasztanami, a zakończenie święta gdzieś w pubie. Koniec, nie ma przyjaciół, przynajmniej takich. Zestarzeli się? Kasztany są. Dziś święto patrona mojej księgarni, świętego Hieronima. Lubię legendę z nim związaną: nawet lew potrzebuje pomocy człowieka, gdy cierń mu w łapę wejdzie. To był gość, jak wszyscy wielcy, przed trzydziestką nawet kijem nie tknął żadnej roboty. Kobieciarz. Po czterdziestce całe *Pismo Święte* z oryginału przełożył na łacinę. Zeszły mu na tym dwadzieścia dwa lata. Pewnie dałby radę szybciej, ale oko go bolało. Nawet na starość w Betlejem kobiety go utrzymywały i kupowały książki.

Po południu oprowadzałem wycieczkę, osiemnastolatki. Grzecznie słuchali, chłopcy jak dęby, zero problemów wychowawczych. Po Cytadeli zawiozłem ich do Starego Browaru.

Czytam Pamuka i zarywam moje obowiązki, bo to ciekawe, co robił narrator jako chłopak w Stambule. Wągorował z różnych powodów i tym sposobem *dochrapał się* Nobla. To książka o chłopcu, który chodzi po mieście.

Nuda, tylko Allegro idzie, nic więcej. Popiszę sobie.

Balet. Mój subiekt w czasach, gdy miałem księgarnię, mówił, że nieszczęście moje polega na tym, że świat wygląda inaczej, niż bym sobie tego życzył. Wtedy chwaliłem się na przekór i przyjmowałem zakłady, że nie, nieprawda, coś niecoś wiem o ludziach. Rzeczywiście, potrafiłem odgadnąć, która książka zainteresuje wchodzącego klienta, którą przegłędnie, do której zajrzy, przy której się zatrzyma, a którą zakupi. I czy robi to emocjonalnie, czy z ekonomicznym namysłem. Dziś sprzedaję książki na Allegro. O moich klientach nie wiem nic. Czasami dziwię się, gdy na przykład ktoś o nicku „topless” zamawia tytuł: św. Katarzyna ze Sieny, *Dialog o Bożej Opatrzności*. Albo na tak zwany odbiór osobisty po książkę Radosława Okulicza-Kozaryna *Mała historia dandyzmu* przychodzi zarośnięty drab w trekkingowych butach i kurtce typu campus. Ale zostawmy to, miałem zamiar pisać o balecie, a wstęp był mi potrzebny dla efektu, że coś wygląda inaczej, niż byśmy się spodziewali. Dziwić się tak, ale nie czynić z tego nieszczęścia. Wracam do baletu.

Na ogół zgadzamy się, że balet to luksus. Sztuka piękna i wzniosła, przynajmniej tak opowiadam wycieczkom na ulicy Gołębiej. Zwłaszcza dzieciom z mniejszych miejscowości pokazuję Szkołę Baletową i barokowy dziedziniec.

Mówię, że to moja ulubiona ulica w Poznaniu, bo gdy tędy przechodzę, nawet gdy pada deszcz, jest zimno i smutno, to tutaj często słyhać muzykę bądź akompaniament fortepianu, a także komendy: raz, i raz, i raz... Cieszę się, że są ludzie, którzy mają możliwość oddać ciało i – jak myślę – część duszy dla czegoś tak ulotnego i *mięsnego* zarazem jak balet. Kiedy wyczuwam, że grupa mnie polubiła i jest chętna do śmiechu, robię na ulicy figury, które nazwijmy piruetami. Najczęściej wycieczce podoba się. Śmieją się i dzieci niekiedy, właściwie najczęściej, naśladują mnie. Wtedy jest bardzo dobrze i wesoło, i o to chodzi. Idziemy dalej w kierunku posążków koziołków do zdjęcia i na opowiadanie legend.

Stać mnie na luksus. Wykupiłem karnet na Teraz Twój Taniec. Można było opłacić tylko jedną lekcję, zobaczyć, czy się spodoba. Nie, ja od razu kupiłem karnet na dziesięć zajęć. Co do stroju, dowiedziałem się, że nie trzeba mieć krótkich spodenek, dzinsy odpadają. Spodnie muszą być miękkie.

Przyszedłem, tak jak powiedziano, piętnaście minut wcześniej. Miła pani wskazała pokój, mówiąc, że niestety, nie mają oddzielnej szatni dla mężczyzn i muszę skorzystać z garderoby tancerzy, którzy akurat są na próbie. Otworzyła właściwe drzwi. Światło było zapalone, choć w środku nikogo. Pomieszczenie nie przypominało szatni. Pokój z wykładziną, pośrodku ławka do wyciskania sztan-gi i stojący wieszak. Wszędzie, ale to wszędzie, porozkładane części ubrań, młodzieżowych. Ale co to były za ubrania! Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Buty, buciki rozchodzone, pumy z wyciągniętymi wkładkami jak jęzo-

ry zziajane, czarne najki, jakieś wymyślne za kostkę, wzór średniowieczny, wszędzie skarpety. Nawet na biurkach połączonych z lustrami. Majtki we wszystkich kolorach tęczy. Jejku... pomyślałem, rozbierając się, gdzie oni to wszystko kupują? Majtki błękitne z pomarańczową gumką, a w kroku ultramaryna. Tu jakieś z szeroką białą gumą w pasie, ale reszta czarna wytłaczana... nie umiem tego nazwać, zatrzymałem się na rozróżnieniu bokserek od stringów. Przy niektórych lustrach perfumy, modelowane flakony. Dostrzegłem, że jedno z majtek przykrywają książkę. Wziąłem je w dwa palce... Oriana Fallaci, *List do nienarodzonego dziecka*. Przypomniało mi się, że Stanisław prosił, abym tę książkę załatwił dla jego żony, która z tekstów Fallaci przygotowuje monodram. Zmieniłem džinsy na stare sztruksy, bo miękkie, koszulka i idę tam, gdzie kazała pani.

No nie, chyba się pomyliłem. Na sali same dziewczyny, lat kilkanaście, stoją przy drążkach, rozciągają się, nogi podnoszą do sufitu. Nie! Gdzie tu przyszedłeś fajtłapo, myślę sobie. Wycofuję się, idę do pani i mówię, że pomyliłem się, tu nie ma żadnego faceta. I co z tego, mówi pani, zapraszam, ale buty proszę zdjąć. Nie ma problemu, mówię, ściągam buty i wchodzę na salę. I... jak zawsze na wszelkiego rodzaju kursach zajmowałem pierwszą lub drugą ławkę, żeby wszystko dobrze słyszeć i widzieć, tak teraz szybciotko udałem się daleko, daleko, daleko, w rząd ostatni.

Zaczęły się zajęcia. Muzyka relaksująca, delikatne chodzenie w miejscu, palce, pięty, palce, pięty. Dam radę, myślę sobie. Trochę tu rozciągamy, trochę tam. Dziewczyny

słuchają, co mówi pani, wszyscy robimy to, co pokazuje. Każda zajęta ćwiczeniami, nikt na nikogo się nie gapi. Każdy pracuje na siebie. Spoko primabaleriny. Później było trochę gorzej. Ze wszystkim nie nadążałem. Nie tak łatwo ruszać nogami i rękami jednocześnie. Dziewczyny też niezbyt gibkie i pojętne. Podejrzałem, że niektóre partie ciała (co za słownictwo) mam lepiej rozciągnięte niż dziewczęta. Zatem jestem na właściwym miejscu. To jest to, to jest luksus. Najbardziej dało mi popalić proste ćwiczenie *robak*, czyli chodzenie po podłodze na czterech, z tym że biodra nisko parkietu. Pozycja jak przy pompkach, tylko przekłada się ręce i nogi jedną przed drugą i tak po całej sali. To mnie zniszczyło. Tym bardziej że *robak* na pani kłaśnięcie przyspieszał. Na koniec wyciszenie, „strzepnięcie” mięśni i miłe wspólne oklaski.

Byście widzieli, jakim krokiem wracałem do garderoby. Aż się prosi, abym odszukał horacjański *List do Pizonów* lub – na skróty – *Słownik terminów literackich* i każdy palec mojej stopy jednej i drugiej nazwał pięknie acumenem. Przez godzinę i piętnaście minut każdy paluszek z osobna na to zasłużył. Pięta, toż to cała synekdocha. Moje biodra i (z szacunkiem) centrum. *Krąg po kręgu* wyprostowany wracałem do garderoby tancerzy. Mój krok to... tu trzeba coś po francusku napisać.

Znowu światło zapalone. W środku nikogo, choć wychodząc, zgasilem. Czy ci ludzie naprawdę muszą tak rozrzucać swoje rzeczy? Nie można położyć wszystkiego razem na kupce w jednym miejscu? Uważam, by nie deptać tego, co się wała pod nogami. Tylko kapeluszy

brakuje, fedor lub cylindrów, myślę sobie. Ściągam miękkie sztruksy.

Dopiero teraz zaczyna się moment, dla którego po długim czasie zabrałem się do notowania. Wiadomo, że piszę nie z powodu gimnastyki ani nie dlatego, że w garderobie tancerzy zobaczyłem majtki, których nazwać nie potrafię – marka Sloggi mnie zaciekawiła, sprawdzę w internecie. Gdy ściągałem spodnie, zupełnie jak w kiepskim bieżącym polskim serialu (w serialach z Peerelu tak banalna scena raczej by się nie trafiła), zaplątałem się w nogawki. Jedna nogawka już za kolanem, na jednej nodze, czy ścięgno puściło, czy jakieś miejsce, w którym ludzie mają mięśnie, tak czy owak walnąłem bardzo nieszczęśliwie całym ciałem, a właściwie łokciem o podłogę. Co za ból okropny od łokcia rozszedł się po całym ciele. Zawyłem cicho. Głośno chciałem wrzasnąć: niech ktoś mi pomoże! Kością łokcia uderzyłem w coś, co znajdowało się w bezmyślnie trzepniętych spodniach na środku pokoju. Jęczę... syczę... Ból (tu zajrzeć do książki *Neuropsychologia bólu*, Kostarczyk Ewa, PTPN, Poznań 2003, stron 141 i skompilować ze dwie linijki). Zaciskam zęby, łagodzę mimiką. Stymuluję płacz, którego nas oduczono. Boli bardzo. Rozcieram łokieć, jak kość może boleć?

Czy są sytuacje, w których wolno zajrzeć do cudzej kieszeni? Hemingway powiada, że pisanie nie jest zajęciem dla ludzi o czystych rękach. Skoro tak powiada... Zostawiam was, drodzy czytelnicy, z niewiadomą, czy włożyłem rękę do kieszeni cudzych spodni, by zobaczyć, o co tak boleśnie uraziłem łokieć, czy też przedmiot ten sam wypadł. Był to składający się z pięciu części

różaniec z dość dużym, jak na taki mały krzyżyk, metalowym Jezusem.

Minął rok.

Karnety upoważniające do dziesięciu zajęć kupowałem jeden za drugim. Od października do maja trzy razy w tygodniu. Nie opuściłem żadnych zajęć. Miła pani stała się Ulą. Jej choreografię *Ty i ja* przypominam sobie w ramach porannej modlitwy. Z tancerzami, których imiona z czasem poznałem, nie zbratałem się. Podziwiam ich i darzę szczerym szacunkiem. To charty z rodowodem. Ja raczej wielorasowy jestem. Lubię zajrzeć na nie swoje podwórko i strzyc uszami. Sloggi kupiłem na Gwarnej.